

Austria – Grossglockner – czyli zaległa relacja

Cel – Grossglockner (3798 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – listopad 2007

Kto – Dziku & Ala & Marcin & Dominika & Oskar

Mój pierwszy 3-tysięcznik. Góra wyjątkowa i przełomowa pod kilkoma względami. Ale od początku:

Po powrocie z udanego wyjazdu na Zugspitze biorę na celownik Triglav w Słowenii. Kombinuję jak tam samemu dotrzeć. Ciągłe nie znam nikogo, kto byłby podobnym tematem zainteresowany. Szukam w internecie wskazówek – dojazd, koszty, pogoda, trudności... Natrafiam na relację z Triglava z końcówki września, czyli z podobnego terminu do tego, w którym ja chcę jechać. Pod relacją nr GG do autorki. Po rozmowie pisanej przyszła kolej na rozmowę telefoniczną. Słyszę:

– my na Triglavie mieliśmy straszną mgłę, więc z chęcią pojedziemy raz jeszcze. Możemy razem jechać.

Świetnie, wygląda na to, że przez przypadek znalazłem ekipę. Umówiliśmy się na wyjazd jakoś na połowę października. Ale gdy przyszedł dzień wyjazdu czuję się fatalnie. Dopadła mnie jakaś choroba i osłabienie. Siedzę jednak ze spakowanym nowiutkim plecakiem. Nie chcę stracić takiej okazji. Jednak Marcin, którego autem mieliśmy jechać, jużwcześniej sygnalizował, że mogą być z tym problemy. Tzn. z autem, bo się popsuło. Czyli ja chory, auto chore, widać tak miało być. Wyjazd przełożony na sam początek listopada. Zmienia się nie tylko termin, ale również cel. Ala i Marcin zaproponowali, żeby zaatakować również Grossglocknera w Austrii. Dla mnie bomba.

Dzień wyjazdu:

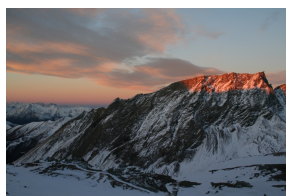
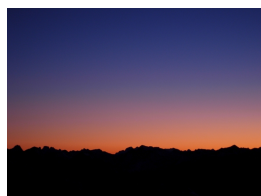
Wieczorem docieram pod wskazany adres. Poznaje Alę, Marcina, Dominikę i Oskara. Zapadają ostatnie decyzje co do zabieranego sprzętu. Mój namiocik (Piesek Leszek) zostaje. Zabieramy tylko jeden (2 lub 3 osobowy) namiot. Na 5 osób. A 5 osób to sporo miejsca. To również sporo bagażu. Nawet jak na kombiaka. Marcin jednak umiejętnie pakuje wszystko pod sam sufit. Ile razy jeszcze w przyszłości będę miał okazję obserwować jak on spokojnie układa te stosy szpeju, plecaków, butów i namiotów... No właśnie – już siedząc w aucie po raz kolejny poruszam temat noclegu. Jak się pomieścimy w jednym namiocie? Yyyy jakim namiocie? Okazało się, że nie spakowaliśmy nawet tego jednego. Ktoś się jednak po niego wraca. Ruszamy. Dojeżdżając do ronda na Pl. Grunwaldzkim pada pytanie:

– To najpierw Słowenia czy Austria?

Szczęka mi opada. Skąd się biorą tacy ludzie? Na dobitkę, już na autostradzie, Marcin pyta się mnie spokojnym tonem:

– Masz uprząż?

Wiedziałem, że moja odpowiedź nie ma już większego znaczenia. Jedziemy na Grossglocknera.



1 listopada

Marcin prowadzi całą noc. Dla mnie to rzecz niezwykła. Ja nawet jadąc 100 km z Nysy do Wrocławia zatrzymuję się na drzemkę. A On... wysiada na parkingu w Kals i pakuje plecak. Jakby od niechcienia instruuje mnie z pomocą kijka i linki jak

sobie poradzić jeśli wpadnę do szczeliny w lodowcu. A we mnie aż się gotuje od emocji. Już do mnie dociera, że po tej akcji wszystko będzie wyglądało inaczej.

Plecaki spakowane. Przed nami Grossglockner w całym majestacie. Pamiątkowe grupowe zdjęcie i w drogę. Jeszcze raz pytam co z noclegiem. Jak to co? Powinien być schron koło nieczynnego już schroniska. A namiot? Został w aucie. Po co nam jeden namiot na 5 osób...?



2 listopada

Ok. 7 rano wychodzimy ze schronu położonego na wysokości 2800 metrów. W nocy niewiele spałem. Pewnie z powodu emocji. Ale czuję się doskonale. Wczoraj po raz pierwszy w życiu topiłem śnieg na herbatę a dziś czeka mnie przeprawa przez prawdziwy lodowiec, również po raz pierwszy. Wkrótce stajemy przed białą taflą pokrytego świeżym śniegiem lodowca. Ktoś zastanawia się na głos:

– Ciekawe, w którym miejscu wpadli...

Chodzi o trójkę Polaków, którzy zginęli gdzieś tu w szczelinie zaledwie parę tygodni temu.

Dzielimy się na dwa zespoły. Ja z Alą i Marcinem w jednym. Oskar z Dominiką w drugim. Bez przeszkód udaje nam się przejść lodowiec. Dochodzimy do stromego odcinka ubezpieczonego stalowymi linami. Wkrótce jesteśmy już przy nieczynnym i całkowicie przysypanym śniegiem schronisku Erzherzog-Johann-Hutte na wysokości 3454 m n.p.m. Krótki postój i ruszamy dalej. Odpoczywając i jedząc ściągnąłem rękawiczki. To był błąd. Nie mogę teraz rozgrzać dłoni. Moje palce ogarnia taki ból, że nie mogę wytrzymać. Mówię o tym pozostałym. Wydaje mi

się, że dla mnie to koniec przygody, że będę musiał tu zostać i poczekać na nich aż wrócą ze szczytu. Bo ja przecież nie mogę czekać utrzymać. Tymczasem Marcin rozciera mi dłonie a Ala podaje z plecaka swoje grube, jednopalczaste rękawice. Po paru minutach czuję, że palce są rozgrzane. Mogę iść dalej. Nachodzi mnie myśl, że znam tych ludzi od parunastu godzin, a już czuję, że łączy mnie z nimi więcej niż z niejednym starym znajomym.

Wkrótce dochodzimy do wąskiej grani pomiędzy „Małym” i „Dużym Dzwonnikiem”. Marcin idzie pierwszy. Odwraca się jeszcze i mówi:

– Jeśli będę spadał na którąś stronę, to Ty skacz na drugą.



Przechodzimy bezpiecznie ten trudny moment ale to nie koniec. Ostatnie podejście jest strome, a wszelkie szpary między kamieniami zapchane są śniegiem. Czasem nie wiadomo gdzie się złapać, gdzie stopę postawić. Dwukrotnie stoję i podciągam się na jednym, przednim zębie raka, zaczepionym o małą nierówność. Zdaję sobie sprawę, że obsunięcie się w takim momencie mogłoby oznaczać ściągnięcie partnerów i upadek w przepaść. A może nie? Może Marcin i Ala cały czas wszystko kontrolują? W końcu przecież bezpiecznie wchodzimy na szczyt. Jest piękna pogoda a my jesteśmy tu zupełnie sami. Próbuje zjeść chałwę. Zatyka mnie i dostaję zadyszki. Pierwszy raz odczuwam na sobie wpływ niskiego ciśnienia. W końcu przedwczoraj byłem 3700 metrów niżej...

– END –